

przeznaczony na wszystkich rynkach giełdowych, czy to w Europie, czy w krajach eksploatowanych. Otóż tam, na Przylądku ajenci pańscy w grę naszą wchodzi, szkodząc nam niezmiernie. Tracimy więc wobec tego dużo cennego czasu na próżno, a zaangażowaliśmy się teraz w nowe poważne interesa i musimy działać szybko. Faktem jasnym jest, że pan jest silnym, za silnym dla nas. Musi więc pan pracować wspólnie z nami w warunkach, które określimy i które dla pana nie będą bez korzyści — lub też zniknąć pan musi, panie Versigny i zostawić nam wolną drogę działania. Czy pan to rozumiał, panie Versigny? Sądzę, że teraz jest pan gotów do porozumienia się ze mną?

Nigdy jeszcze Jerome Versigny nie odczuł tak silnie rozkoszy potęgi i znaczenia, jak w tym momencie, brutalnym zapewne, ale szczerym i wielkim. I to przemawiał człowiek nie przeciętny, geniusz finansowy, Anglik o wytrwałości żelaznej. Przyszedł bez wahania i oświadczył, że czuje się zagrożonym wobec siły i rozwoju towarzystwa francuskiego.

Lekki, ironiczny uśmiech przewinął się przez usta Jeroma Versigny, kiedy wyrzekł stanowczym głosem:

— Szkoda słów pańskich, sir Archibaldzie Graves. O żadnych układach między nami mowy być nie może.

„Król dyamentów“ na tę odpowiedź powstał w milczeniu. Twarz jego surowa i zimna przybrała taki wyraz zaciętej energii i uporu, że objaw ten na chwilę zastanowił bankiera Versigny.

— Zegnam pana, panie Versigny — wyrzekł po chwili zastanowienia Archibald Graves — Pozwoli pan uścisnąć sobie rękę. Przyznaję, że w głębi duszy nie miałem nadziei onieśmielić pana, bo wiedziałem, że pan jest odważnym i niezależnym człowiekiem. Jednakże byłbym wolał zastosować przeciw panu środki ugodowe... zamiast innych... Ale w każdym razie nie podejść pana w zdradziecki sposób.

Słowa te zdziwiły bardzo pana Versigny. Powstał bez słowa jednak i grzecznie odprowadził swojego gościa do drzwi gabinetu.

Aż do chwili poznania Włodzimierza Guzowa, bankier Versigny nie uznał za potrzebne zabezpieczyć się przed groźbami, które mieściły się w słowach sir Archibalda Graves i które zamieniły się mogły wkrótce w niebezpieczeństwo groźne.

Po odejściu gościa wzruszył ramionami niedbale, pewny w siłę swoją i odporność wobec nieprzyjaciela. Jednakże jak tylko został wciągnięty w zamiar młodego uczonego i posiadał jego tajemnicę, przypomniał sobie to zajście i pomyślał, że teraz musi przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności i obrony przeciw angielskiemu finansistcie.

Bo gdyby rzeczywiście sir Archibald Graves, który dotąd nie dawał znaku życia, dowiedział się o nowych jego operacjach finansowych, nie omieszkałby zapewne przeciwdziałać w jak najostrożniejszy sposób i niszczyć owoce jego pracy.

Dla tego więc powodu Versigny, rozumiejący jasno obecną swoją sytuację, nie zdradzał się przed nikim ze znajomością z Włodzimierzem Guzowem i ograniczył zupełnie jego odwiedziny do biura na ulicy Pillet-Will.

Wy tłumaczył mu motywa nienawiści sir Archibalda Graves, skierowanej ku niemu i wykazał skutki jej, gdyby tenże przejął podstępnie ich wspólną tajemnicę.

— Musimy być przygotowani na szpiegowanie z jego strony — rzekł Versigny raz do Włodzimierza Guzowa — Należy się więc panu strzedz tej ewentualności na ulicy. Jeżeli pan zauważy, że ktoś pana śledzi, najlepiej wskoczyć do omnibusu, naturalnie osoba śledząca uczyni to samo. Wówczas w chwili, kiedy omnibus ma już ruszyć z miejsca, niech pan zeskoczy prędko i idzie w jakim bądź kierunku. Jest pan już wówczas na czas jakiś bezpieczny, bo anioł stróż pana albo nie zdąży podążyć za panem, lub też rozmyślnie pozostanie w omnibusie, nie chcąc obecności swojej zdradzić wobec pana. Poza tem niech pan pamięta o przechodnich kamienicach i kościołach, o kilku zazwyczaj wyjściach. Uśmiecha się pan, panie Guzow i zapytuje, skąd poważny bankier Versigny wie o podobnych procedurach?

— Rzeczywiście! — odparł młody człowiek — Widzę, że pan jest człowiekiem, który myśli o wszystkim.

— W naszym położeniu musimy być przygotowani na wszelkie ewentualności. Tego sposobu zmylenia tropu nauczył mnie mój przyjaciel, Oktawiusz Bernac, detektyw amator, z którym zapoznam pana przy najbliższej sposobności.

Pensjonat „Europa“.

Pomiędzy gośćmi pensjonatu „Europa“, w którym zamieszkał Włodzimierz Guzow, po zawarciu znajomości z bankierem Versigny, najwięcej faworyzowanym i lubianym przez właścicielkę zakładu panią Lutin — był czcigodny ojciec Nataniel Bodminster. Ale nie tylko pani Lutin okazywała mu nadzwyczajną sympatię, wyróżniając go na każdym kroku, lecz i wszyscy goście pensjonatu „Europa“ odnosili się do niego z najwyższym szacunkiem i uznaniem.

Czcigodny ojciec Nataniel Bodminster był ciekawą postacią. Wysoki, ascetycznie chudy, o szerokich, dziwnie rozrośniętych ramionach, miał twarz bladą, spokojną i bez wyrazu, w której błyszczały silnym ogniem jasne, siwe oczy. Kiedy chodził, wielkimi krokami mierząc przestrzeń, zdawało się, że biegnie.

W pensjonacie pani Lutin, ojciec Nataniel Bodminster przebywał często, zatrzymując się niekiedy dosyć długo. Obecnie wydelegowany został przez komitet uczonych z Leeds, w celu badań naukowych w bibliotece narodowej nad tekstami manuskryptów, poświęconych celtyckiemu pochodzeniu tego miasta.

W obejściu z ludźmi był nadzwyczaj swobodny i uprzejmy. Rozmawiał chętnie, wesoło z pewną swadą i oryginalnością i gdyby nie krój poważny ubrania i pewna powściągliwość, kiedy rozmowa przechodziła na temat religii — nikt by się w nim nie domyślił człowieka oddanego służbie bożej.

Interesował się żywo wszystkimi gośćmi pensjonatu „Europa“. Mówiąc bardzo płynnie miejscowym językiem, skupiał wokół siebie grono osób, z których część przeważna odnosiła się do niego z szczerą sympatią.

Pani Lutin zaś formalnie szczyliła się jego obecnością w zakładzie i czyniła wszystko, co było w jej możliwości, aby go przytrzymać u siebie jak najdłużej.

Niegdyś jeszcze towarzysze Włodzimierza Guzowa wspominali mu o pensjonacie pani Lutin, jako o spokojnym i wygodnym zaciszu, lecz chociaż warunki zamieszkania tam nie były zbyt wygodne, młody uczoney mógł sobie na tę przyjemność pozwolić. Zmieniły się rzeczy, kiedy bankier Versigny zaopiekował się nim.

Pensjonat „Europa“ mieścił się w trzechpiętrowej kamienicy przy ulicy de Tournon. Pokoje były urządzone skromnie, ale czysto. Każdy pokój, prócz najniezbędniejszych sprzętów, posiadał dużą szafę z lustrzaną szybą. Stary służący, Adolf, pomarszczony jak jabłko, wywiązywał się dosyć zadawalająco ze swojego zadania. Pożywienie było wystarczające i zdrowe. Całe generacje studentów i cudzoziemców różnych narodowości przeszły już przez zakład pani Lutin, która o wszystkich swoich gościach wspomina z żalem i życzliwością.

Zebrane podówczas towarzystwo „Europy“ przyjęło jak najserdeczniej Włodzimierza Guzowa. Przybył on tu na mocy poleceń poważnych osób, znających właścicielkę pensjonatu. Lecz nikt nie okazywał mu tyle zainteresowania i uprzejmości, jak czcigodny ojciec Nataniel Bodminster.

Jego przyjaźń dla młodego uczonego wzrastała z dniem każdym. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności złożyło się, że zajmowali pokój na tym samym piętrze. Ojciec Nataniel chciał wszystko wiedzieć o młodym swoim przyjacielu. Wypytywał go o przeszłość jego, o pracę obecną, zatrzymując go w Paryżu, pragnął poznać jego znajomych.

Włodzimierz Guzow był człowiekiem szczerym i bezinteresownym, ale doświadczenia przeżyte nauczyły go, że szczerść i prostota bywa zazwyczaj źle opłacana. I teraz więc, szczególnie po radach i ostrzeżeniach, otrzymanych od bankiera Versigny, żył bardzo ostrożnie i uważnie, nie wiele mówiąc o sobie. Nawet kolegom i współziomkom swoim najserdeczniejszym nigdy ani słowem nie wspominał o projekcie swoim i odkryciu jakie uczynił. Wielkie przeznaczenie i cel dobry, które widział w związku z tem przedsięwzięciem, rozgrzeszały go w sumieniu swoim z tej nieszczerości, przed którą niechętnie wzdrygała się jego prosta i uczciwa dusza.

W miarę więc, jak pytania czcigodnego ojca Nataniela Bodminster stawały się bardziej nagłe, Włodzimierz Guzow, pozostając zawsze uprzejmym i zachowując tę niedbałą swobodę właściwą naturom słowiańskim — stawał się więcej jeszcze zamkniętym w sobie i niedostępnym zwierzeniom.

Regularnie więc teraz, chcąc ująć przed natarczywą życzliwością ojca Nataniela, wstawał o pół godziny wcześniej, żeby uniknąć spotkania się z nim

na korytarzu i nawiązania rozmowy i wychodził na miasto do swoich zajęć.

Ojciec Nataniel zaś, okazawszy mu kilkakrotnie lekkie niezadowolenie i żal z tego postępowania, nie starając się już więcej usposobić młodego uczonego do zwierzeń — przestał go męczyć swoją obecnością. Ale kiedy spotykali się przy wspólnym stole lub w salonie pensjonatu, do którego niekiedy zaglądał Włodzimierz Guzow, okazywał mu dalej tę samą sympatię, ograniczając się jednak do rozmów o bieżących sprawach.

Tymczasem prace młodego Rosyanina rozwijały się nader pomyślnie. Przy pomocy Versigny'ego, zawsze czuwającego nad z równą serdecznością — urządził sobie w Saint Owen małą pracownię, rodzaj fabryki, funkcjonującej znakomicie. Instalacja pieców i dynamos postąpiła szybko, dzięki zręczności robotników, wybranych przez samego bankiera.

Włodzimierz Guzow oświadczał wszystkim wokół oficjalnie, że czyni badania nad radym. Mając zawsze przy sobie klucze od laboratorium, mógł operować spokojnie bez obawy, że ktoś z robotników podpatrzy jego prace i poweźmie jakie podejrzenia.

Od chwili przestąpienia progów swojego laboratorium, młody uczoney żył w atmosferze ciągłego podniecenia gorączkowego.

W długiej swojej bluzie białej, w jaskrawem oświetleniu elektrycznych lampek, Włodzimierz Guzow, z twarzą ascety, okoloną długimi jasnymi włosami i brodą, podobnym był do alchemisty z epok ubiegłych.

Równocześnie z energią wyteżoną w kierunku ukochanej swojej pracy, przy ożywiającej go nadziei dojścia do zamierzonego celu, w dogodnych już teraz warunkach materialnych, powracało mu pomalutku utracone zdrowie. Napady nerwobólów i duszności stawały się coraz rzadsze i za każdym widzeniem się bankier Versigny konstatował, że protegowany jego nabiera siły i odporności.

Pewnej niedzieli rano, Jerome Versigny, umówiwszy się poprzednio z młodym uczonym, przyszedł do pensjonatu „Europa“ — chcąc z nim dłużej pokonferować nad wspólnymi pracami.

Zamknięci w pokoju rozmawiali obaj przyciszonym głosem. W pokoju przyległym czcigodny ojciec Nataniel Bodminster zajęty był przelewaniem jakiegoś płynu do małych flaszeczek. Posiadał on słuch nadzwyczajny i wkrótce zauważył szmer głosów, dochodzący przez ścianę.

Wstał więc natychmiast i wyjął z szuflady pod ręcznej maleńką, wąską tubkę metaliczną, którą wsunął do otworu w ścianie. Aparat ten fonetyczny był rodzajem mikrofonu. Ojciec Nataniel przybliżył ucho do tego aparatu i słuchał z całą uwagą, zamknawszy oczy dla skoncentrowania wrażenia.

Nagle na twarz jego wystąpił wyraz silnego zdumienia i ciekawości. Odstąpił trochę od ściany i szeptał zaintrygowany:

— To jest Versigny... bankier Versigny... Co on tu robi? Po co przyszedł? Muszę tę rzecz zbadać.

Powrócił napowrót do ściany i tak zatopił się w podsłuchiwanie, że czoło jego zbiegło się w sieć drobnych zmarszczek.

Nareszcie w chwili, kiedy ze słów dobiegających go mógł wnosić, że rozmowa w przyległym pokoju kończy się już i rozmawiający żegnają się, czcigodny ojciec Nataniel Bodminster wyrwał szybko aparat ze ściany, włożył do szuflady biurka i wzięwszy kapelusz wyszedł, zamykając pokój na klucz. Następnie zbiegł ze schodów, czyniąc jak najmniej hałasu i stanął na ulicy przed głównymi drzwiami, prowadzącymi do pensjonatu. Tutaj dla umotywnienia swojej obecności, zajął się pozornie dwoma psami, przewracającymi się w zabawie po ulicy.

Wkrótce z bramy wysunął się bankier Versigny. Obawiając się poznania, podniósł wysoko kołnierz futra i skierował się pospiesznie w dół ulicy.

Ale sprawne i bystre oko ojca Nataniela już go poznało.

— To on! To on bez żadnej wątpliwości — mruknął z zadowoleniem — Nie zmarnowałem dzisiejszego dnia. Najwyraźniej przypadek mi służy.

W jakiś czas później Włodzimierz Guzow udał się do swojego laboratorium i wsiadł do omnibusu, odchodzącego w stronę Saint Owen. Ale w połowie drogi doznał dziwnego wstrząśnienia. Na zbiegu jakichś ulic, gdzie ruch powozowy był silnie wzmożony, omnibus był zmuszony przystanąć na chwilę. Wówczas Włodzimierz Guzow ujrzał nadjeżdżający ciężki wóz samochodowy.

(Ciąg dalszy nastąpi).